

Kronika tygodniowa.

Zanim przejdę *in medias res*, to jest do właściwej kroniki, niech mi wolno będzie odpowiedzieć na list, właściwie korespondentkę, jaką otrzymałem onegdaj ze Lwowa. Odcyfrowałem ją z trudnością, widoczne bowiem na niej albo ślady łez, lub też ślady deszczu, co wykazać może dopiero chemiczne zbadanie.

Korespondent, czy też korespondentka (charakteru pisma zbadać nie mogłem, gdyż redakcyjny grafolog bawi właśnie na urlopie) gniewa się na mnie, iż piszę tylko o wojnie i o sprawach aprowizacyjnych.

„Ty masz ludziom przez pisanie swych kronik dawać otuchy, a Ty piszesz tak, że tylko sięś, załamać ręce i stękać: „Kiedyż o kiedyż skończy się wreszcie ta wojenka“.

Powtarzam dostownie część tekstu korespondencji, by na nią zaraz odpowiedzieć, iż dziś, w wojennym czasie, chyba tyko o wojnie pisać wypada, a ponieważ jej następstwem są właśnie owe mankamenta aprowizacyjne, każdemu dające się tak we znaki, im też z natury rzeczy należy się wzmianka, nie zaszczytna bynajmniej, ale też i nie powodująca rozpacz. Wesoło trudno dziś być usposobionym, robi się przecież, co można, by ogółowi nie odbierać otuchy. I dlatego to powtarzam zawsze: „Jest źle, a jeśli nie będzie lepiej, może być gorzej!“

Gdybym był zanadto wesoło usposobiony, jestem pewnym, że przecież znalazłby się ktoś, kto by mi to wziął za złe i kazał nastroić kronikarskie dudy na ton poważniejszy, odpowiadający duchowi czasu. Bo, że wesoło nie jest, to każdy przyzna.

Kronikarz jest w tem niemilem położeniu, iż pisze dla ogółu, a ten ogół ma różne gusta i guściki i to, co się jednemu podoba, drugiego gorszy lub gniewa. Aby wszystkich zadowolić, musiałby kronikarz być jako ów historyczny dziad na ołpuncie, co to na żądanie słuchaczów za dwa centy śpiewał coś wesołego, a zaraz potem, równie za taką samą cenę i smutno wywodził trele. Ale i on też się z ogólnem nie spotkał uznaniem. Chcąc wszystkim zadość uczynić, powinienby się przy początku kwartału każdego z P. T. Prenumerat-rów zapytać, w jaki sposób mu dogodzić, czyli, innemi mówiąc słowy, dla każdego i każdej pisać osobną kronikę, a nie jedną dla wszystkich, jak się to dzieje dotychczas.

I na tem jeszcze nie koniec! Choćby się zadowoliło Prenumerat-rów, pozostałoby jeszcze całe mnóstwo tych, którzy nas popierają w ten sposób, iż chętnie bardzo czytają wszystko to, co tylko prasę drukarską opuściło, ale pod tym warunkiem, jeśli ich to nie kosztuje. Są to tak zwani „czytelnicy za darmo“, a i oni mają też bardzo daleko posunięte wymagania i krytykują jeszcze ostrzej i surowiej, niż stali Prenumerat-rzy.

Pozatem, kronikarz jest tylko zwykłym śmiertelnikiem, który od czasu do czasu może mieć i ma z pewnością różnego rodzaju kłopoty i zmartwienia, musi się mu więc wybaczyc, że nie zawsze jest wesoło podskakującym i gwiszającym na wszystko. Zresztą dziś, gdy obnwie takie drogie, trudno odeń wymagać, aby wesoło hasał, choćby nawet był w odpowiednim wieku, a cóż powiedzieć dopiero, gdy w rejestrach magistrackich zapisany jest na liście tych, którzy nie są już obowiązani nie tylko do służby wojskowej z bronią w ręku, ale nawet i do świadczeń wojskowych.

Mimo to stara się przecież kronikarz zawsze i na przyszłość, cho by się wojna tak rychło nie skończyła, uczyni to samo, by wlewać w serca otuchę, budzić szlachetne porywy, rozpraszać smutki, wogóle wyświadczać ogółowi takie i tym podobne obywatelskie przysługi, a że mu się to czasem udaje, tego dowodem cały szereg uznani na piśmie, które troskliwie przechowuje, by je kiedyś, po najdłuższem życiu, przekazać swym spadkobiercom, skoro nie może im nic innego w spuściźnie pozostawić. Niechaj lzy obcierają sobie bodaj papierem!

Kolców na drodze jego żywota także nie brakuje, bo któż od nich jest wolnym, w koronie chadza, czy też w zwykłym kapeluszu, lub nawet bez niego, ale kronikarz znosi je cierpliwie i z poddaniem. Powiadając sobie: „Jeśli cierpię, to dla ogółu i kiedyś będzie mi to policzonem!“...

W długi przeprowadzonej z urzędu analizy chemicznej, kroniki zawierają tylko siedmiedziąt pięć i pół procent treści wojenno aprowizacyjnej, gdy natomiast inne tego rodzaju publikacje dochodzą do dziewięćdziesięciu dziewięciu, temu wszystkiemu winną jest przecież tylko wojna, a na jej wybuch kronikarz nie miał wpływu, ale dąży za to wiele, by móżdż się przyczynić do jej zakończenia, wylazi mu już bowiem bokiem, tak, jak większości, która na niej interesu najmniejszego nie zrobiła.

Na każdym kroku słyszy się zresztą narzekania, powiedzmy nawet i stękania na ten temat, mimo więc woli wpada się w tę samą nutę.

A nie tak dawno, bo zaledwie przed kilku dniami, odwiedził kronikarza pewien jegomość, żyjący w świętym stanie kawalerskim, by się użalić na nieprzyjemności samotnego bytowania, zwiększające się z dnia na dzień w miarę przeciągania się wojny.

— Panie łaskawy — mówił — ja wiem, że mnie pan rozumie i że znajdę w panu człowieka, przed którym mogę się użalić. Ile ja teraz cierpię, to pan nie ma pojęcia!... Pisał pan niedawno o braku nici, ja ten brak na sobie samym odczułem. Zbliża się zima, trzeba się ubrać w palto. Wyciągam go z szafy i patrzę, brak mu wieszadła. Co tu począć, skąd je wziąć, a jeśli się nawet i znajdzie, czem je przyszyć?... Ale dobrze pan to niedawno napisał, że bieda uczy wynalazków! Przypominałem sobie, że mam stare sznurowadła od trzewików!... Zawołałem „Henreka!“, z większą z pewnością radością, niż ś. p. Archimedes... Będzie i wieszadło, będą i nici, które się dziś płaci na wagę złota!... Zrobiłem więc z kawałka taśmy wieszadło pierwszej klasy, resztę poproszę i miałem nici... Z wynalazku mego byłem dumny, bo jestem przekonany, że i Robinson, gdy się znalazł na odludnej wyspie, jeśli wogóle miał kiedy trzewiki sznurowane, inaczej nie byłby sobie postąpił!...

I proszę mi powiedzieć, czy nie płakać nad losem takiego biednego samotnika i czy można być wesołym, rozważając te prawdziwe „Kłopoty starego kawalera“. Temat aż się prosi, by na tem tle osnuł ktoś sensacyjną powieść z czasów wojny światowej.

Prawda, że ów jegomość sam sobie winien, iż nie postarał się o przedwojenną towarzyszkę życia, która byłaby go w tej czynności zapewne wyręczyła, z drugiej jednak strony, gdyby ją miał, nie brakłoby mu z pewnością innych zmartwień domowych, choćby tylko na tle aprowizacyjnem. Dziś, jeśli się nawet ma ognisko domowe, trudno je na nowo zapalić z powodu braku zapalek, gdy przypadkowo zgaśnie. A to się przecież zdarza.

Ubolewał więc kronikarz wraz z owym kawalerem i dziękował Bogu, że obce mu są tego rodzaju „wieszadłowe“ zmartwienia, nie mógł przecież inaczej zrobić i podaje to do wiadomości ogółu, by i inni towarzysze niedoli tamtego wiedzieli, jak mają sobie radzić, jeśli by się przypadkowo znaleźli w tem samem, co on, położeniu.

Może się to znów komu nie spodoba, gdyż sprawę tą można tak dobrze podciągnąć pod wojnę, jak i aprowizację, ale musi mi wybaczyć. Notatki kronikarskie mają często bardzo doniosłe następstwa, jak się o tem sam na sobie przekonałem. Jeszcze maszyna drukarska gniotła numer *Nowości illustrowanych*, w którym narzekałem na pokrzywdzenie ogółu przy rozdziale świec na miesiąc i głowę, a tu już władze, jakby to przeczuwając, wydały rozporządzenie, przyznające każdemu podwójną dawkę.

Czyżaj więc w tem zasługa, jeśli nie moja?... Inna rzecz, czy się świece dostanie, ale w każdym razie będzie się miało kartę.

Bo i karty nie są znowu tak złe, jakby kto może myślał. Wprawdzie, jeśli się jest głodnym, a ma się kartę chlebową, nie nasyci się nikt, choćby ją zjadł, ale zato, gdy się będzie rozporządzało większą ilością kart na węgle, gdy innego opału zabraknie, można się bardzo łatwo ogrzać przy ich płomieniu.

Pisząc o ogrzaniu się i o świecach, przypominałem sobie, że w poprzedniej kronice obiecałem się zająć oświetleniem miasta, zastrzegając się przecież, iż może się stać inaczej, jeśli by okoliczności tak się złożyły.

I tak się właśnie stało!... Ow list ze Lwowa pchnął me kronikarskie pióro na inne zupełnie tory, jeśli więc wspomnę o owem oświetleniu, to tylko bardzo pobieżnie. Wieczorną porą w śródmieściu panuje bardzo sympatyczny półmrok, umożliwiający P. T. Publiczności rozbijanie sobie nosów o słupy nieoświetlonych latarni, co ma tę dobrą stronę, iż ludzi odzwyczajają od włóczenia się po mieście nocną porą; na przedmieściach natomiast zalegają prawdziwie egipskie ciemności. Powodem brak gazów, spowodowany brakiem węgla i ograniczenie produkcji prądu elektrycznego tej samej przyczyny. Ponieważ i to jest następstwem stosunków, wywołanych przez wojnę, trudno się chyba z tego cieszyć. Można tylko żywić nadzieję, że będzie lepiej, ale dopiero wówczas, gdy się wojna skończy i znikną z horyzontu wszelkie centrale, a między niemi i węglowa, traktująca Galicyę, również jak i jej koleżanki, zupełnie po macoszemu.

Ciekawy jestem ogromnie, czy projektowany za przykładem Niemiec, na razie tylko we Wiedniu, Urząd pośrednictwa małżeństw nie będzie czemś w rodzaju owdych centrali, gdyby bowiem tak być miało, przyszła odbudowa kraju i jego zaludnienie nie wielką z tego odniosłoby korzyść. Sfery miarodajne gotowe byłyby nawet może zaprowadzić kartki i na żony, naturalnie

tylko dla tych, którzy ich dotąd nie mają, (żon, nie kartek!... przyp. zecera). Ogół mogłoby owe kartkowe przepisy tylko w tym wypadku obowiązywać, gdyby stare żony uległy urzędowej rekwizycji, jak miedź cyna, guma i t. d. Czy jednak do tego dojdzie, dziś jeszcze trudno przewidzieć, choć z pewnością znalazłoby się wielu takich, którzy bynajmniej nie gniewaliby się o to!

W sprawie tej nie chcę głosu zabierać, nauczony przykrem doświadczeniem, iż nie opłaci się publicznie poruszać tak drażliwych kwestyj, jak odnoszące się do spraw małżeńskich. W jedną z poprzednich kronik napomknąłem o ewentualnie możebnem zaprowadzeniu po wojnie dwużństwa i od tego czasu otrzymuję ciągle listy z zapytaniem, kiedy się należy spodziewać nareszcie ogłoszenia odnośnego rozporządzenia. Zapytują się o to tak mężczyźni, jak i kobiety, a ja jestem w prawdziwym kłopotcie, gdyż nie wiem, co mam na to odpowiedzieć. Podobne zarządzenie wydano po ukończeniu się wojny trzydziestoletniej, a wątpię bardzo, czy obecna potrwa tak długo, choć są tacy, którzy twierdzą, że leży w interesie krajowego handlu i przemysłu, by ona wogóle nigdy końca nie miała.

Ale może oni się mylą?... Taka myśl mi się nasuwa, gdy czytam o nowej rewolucji rosyjskiej i zagarnięciu władzy przez maksymalistów, nie mających nic wspólnego z imiennikami, spotykanymi u nas. Nasi maksymaliści tylko dlatego takie noszą miano, iż muszą się stosować do rozmaitych taryf maksymalnych, mających związek ściśle z aprowizacją, ale nie z polityką. Rosyjscy maksymaliści podobno pragną pokoju, ale nikt tego powiedzieć nie może, czy tak jest w samej rzeczy i jaki to miałby być pokój. Jeżeli angielskie wpływy nad Nową nie zwały dotąd, to wszystkie owe pokojowe pogłoski są tylko cczą gadaniną, funta kłaków nie wartą, a obliczoną tylko na mamienie publiczności i dodanie jej „otuchy“.

Gdyby można wiedzieć, jak jest w istocie, można by snuć i różne wnioski na ten temat. Gdyby nadto miało się swobodę słowa, można by i wiele powiedzieć lub napisać, na razie trzeba się kontentować niedomówieniami lub półsłówkami i to właśnie jest najcięższą kulą u nogi kronikarza, który, choć nieraz może chciałby, musi sobie tylko powiedzieć w duchu: „Nie da rady!...“

I to niech służy jako ostateczne wytłumaczenie kronikarskie z przytoczonych na wstępie zarzutów. Gdy się zmienia czasy, a z nimi poprawia i stosunki i kronikarz według zupełnie innego kamertonu zaczyna wywodzić swe pienia i nieraz będzie z pewnością weselej, niż to mogło być dotąd, usposobionym.

Ale na to trzeba koniecznie końca wojny i niczego więcej!

Aby przecież pisać i o czem innem, nie tylko o wojnie i aprowizacji, zabieram się do... pogody, zwłaszcza, że nadarza się do tego sposobność z okazji uroczystości świętego Marcina, przypadającej rok rocznie na dzień 11. listopada. Dzień ów bywał po inne lata dniem krótkim pierwszym rzędu dla wszelakiego rodzaju gęsi, ale tylko tych, które są porośnię pierzem... Urządzano im wówczas prawdziwą „noc świętego Bartłomieja“, delektowano się delikatnem i smacznem mięskiem i wyciągano wróżby, jaką będzie zbliżająca się zima. Dawniej święty rycerz przyjeżdżał zwykle na siwym koniu, tego roku przyszedł piechotą, konie bowiem na równi z ludźmi, pociągnięto do świadczeń wojskowych.

I wróżby meteorologiczne odpadły też z powodu nie tyle braku gęsi, gdyż ciągle słyszy się na ulicach ich żalosne gęganie, ile z przyczyny zbyt wygórowanej ceny. Na taki upierzony barometr może sobie obecnie pozwolić tylko milioner, lub kandydat na niego, nie też w tem dziwnego, że owe sympatyczne ptaszki z placu Jabłonowskich wędrują przeważnie wszystkie w stronę Kazimierza i tam padają ofiarą żarłoczności kupców i przemysłowców, robiących na wojnie dobre interesy. Reszta ogółu obchodzi się, jak to mówią, smakiem, lub cieszy się opowiadaniem innych, jak im gęsińska smakowała.

Kronikarz, wobec tego co wyżej powiedziano, i okoliczności, że nie znalazła się ani jedna szlachetna dusza, która obdarzyłaby go gęsią, horoskopów meteorologicznych nie stawia, zresztą inni już za niego to powiedzieli, że zima tegoroczna będzie ciężka i że wojna, choć tak wiele krzyczy się obecnie o pokój lub choćby tylko zawieszeniu broni, przed Nowym Rokiem, nawet starego stylu, z całą pewnością się nie skończy, chyba... gdyby okoliczności inaczej się złożyły, bo i to nie jest bynajmniej wykluczonem. Na razie stwierdzić należy tylko tyle, iż rewolucja wywołana przez rosyjskich maksymalistów berze w łeb, a Kierónki ciągnie z wojskiem w stronę Petersburga. z tej więc strony niczego spodziewać się nie można, co mogłoby przyspieszyć tak upragniony pokój.